



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

SKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

MAŁŻEŃSTWO.

„Gazeta Warszawska“ poruszyła w łamach swoich ważną kwestyą, dla czego obecnie zawiera się u nas mniej związków małżeńskich niżeli to było dawniej? Nowoczesny układ życia jest tu w znacznej części rzeczy tej przyczyną, praca kobieca w rodzinie znaczyła niegdyś pod względem ekonomicznym bardzo wiele, dziś przy wzmagającym się postępie przemysłu i rozwoju rzemiosł praca ta zniżyła się bardzo u ognisk domowych, utrzymanie rodziny, domu, staje się kosztowniejszem i najdroższy skarb wśród uczuć ludzkich — miłość często w sercach naszych zatłumioną zostaje przez wzgląd smutny na tę stronę życia materialną, która przecież wiąże się węzłem silnym z duchowym istnieniem naszym. Małżeństwo bez miłości, bez tkliwego zespolenia serc, nigdy zupełnego szczęścia nie daje tak, jak nie rozbudza tej energii, która śmiało kroczyć każe naprzód, nie lękając się pracy, i zdobywa nam cel upragniony. Mężczyzna jest tu więcej stosunków życia świadomy, gdy kobieta, zwykle dziewczę młode, rozpoczyna niejako z chwilą małżeństwa nowicjat życia, bo aż dotąd ulegająca kierunkowi rodziców, matki szczególnie, nie umie stanąć od razu o sile własnej i ma to dla moralnego jej rozwoju znaczenie ważne, jeżeli mąż, z porządku rzeczy starszy i więcej doświadczony, więc głębiej w życie patrzeć umiejący, dobry drogowskaz życia przed nią postawi.

Kobieta jest w całym znaczeniu tego wyrazu kapłanką domowego ogniska, bo ona to rozżarza tę iskrę uczucia, które płonąć tu potrzebuje, aby sercom było ciepło i dobrze: biada też tak jej, jak temu, który stał się towarzyszem jej życia „aż do

śmierci“, jeżeli związała się z nim węzłem nierozzerwalnym tylko dla względów materialnych, dlatego, aby miała dom własny i pozyceją, jaką mężatka zajmuje wśród społeczeństwa. Tylko miłość, z szacunkiem złączona, powinna tu wiązać ludzi, bo uczucia tego potrzebują tu zarówno oboje, tak mąż, jak i żona, aby życie ich mogło być prawdziwie szczęśliwe i obowiązkom swoim zadość czyniącem. Miłość góry przenosi; człowiekowi kochanemu łatwiej się przebacza, jeżeli nas w czemś urazi, bo nie przypuszczamy tu złej woli, a nawet to zaślepienie, które zwykle towarzyszy miłości — ta opaska czarnoksiężka, zawiązująca oboje kochających, już to sprawia, iż mniej surowo liczymy się z człowiekiem, który jest nam drogi, wyszukując powodów usprawiedliwiających to, przeciw czemu powstawać nam trzeba.

Ale jest też pod tym względem i strona rzeczy druga. Kobieta szlachetna, szlachetnego tylko kochać chce i może, dlatego też żona z takim uczuciem w piersi pragnie dla męża, nietylko czei ludzkiej, ale i tego zarobku, który zwiemy za służbę — pragnie, aby obowiązki swoje spełniał uczciwie, aby miał dobre imię u ludzi, i ważną jest rzeczą w małżeństwie uczucie takie, bo stoi ono na straży wielu stron życia rodziny, na które kobieta wpływ wywiera. Kochająca nie będzie rozrzutną, nietylko już dlatego, aby mąż nie potrzebował o środki życia materialne usilnie zabiegać i spracowywać się ciężko, ale wie ona, że braki tych środków nierzadko sprowadzają ludzi na drogę czynów nielegalnych, że nieraz — nieraz jeden, ojciec rodziny utraci dobre imię i szacunek ludzki przez to, że żona ze środkami posiadanego mienia liczyć się nie chce i uważa męża za obowiązowanego dostarczać jej tyle, ile ona zapotrzebuje. Często bywa to jakoby skutkiem gorącej miłości macierzyńskiej; chowa się dziecko w wygodach nietylko nie odpowiadających posiadanemu mieniu, ale psujących moralnie, bo z jednej strony rozleniwiających organizm, z drugiej dają-

cych pożądanie używania, pożądanie majątku i przywiązywanie do niego wagi wyższej, niż to być powinno, jeżeli człowiek ma czuć i myśleć podniośle.

Moralna wartość człowieka na tem zależy, aby zawisłym nie był od okoliczności takich, nad jakimi zapanować nie może wola rozumna, wytrwałością w tem, co za dobre uważa, i wolności takiej nie utraci się bynajmniej przez małżeństwo, lecz przeciwnie, małżeństwo wzmacnia ją w nas przez uczucie, że konsekwencye czynów naszych dosięgają i tej drugiej, drogiej nam osoby, której dola lub niedola łączy się silnie ze skutkami czynów naszych. Zdobywamy się też na tę siłę ducha, która jest prawdziwą wolnością człowieka, bo wtedy nie ulegamy tym różnym wpływom, z których wytwarza się ta niewola, jaką nas słabych krępiją namiętności; tylko też miłość samolubna, która kocha ze względem na nas samych, następuje na prawa moralnej wolności drogiej nam osoby, którą przecież chcemy uczynić jakoby rzeczą naszą bez względu, że taki stan niewoli, jako sprzeczny z naturą człowieka, staje się cierpieniem.

Harmonia życia polega na tem, abyśmy wszelkie strony uczuć naszych i myśli uczynili podległymi idei, którą rządzić się pragniemy; w małżeństwie jest to rzeczą niezmiernie ważną, bo wtedy już tu niema tych nierówności, jakie nieraz każą się mężowi mylić co do charakteru żony i nie pozwalają mu ufać jej tak, aby mógł polegać na niej w tych chwilach życia ważnych, w których potrzeba nam jest stałości woli, stałości uczucia. I nie zdola też ona być wtedy odważną, bo czyż może, — czyż może być pewną siebie, że nie zachwieje się w próbie, nie zmieni przekonania? Odwaga jest przecież czynnikiem wielkiego znaczenia w życiu naszym, bez tego przymiotu nie ma pięknego, górnio wiedzonego istnienia, i kto chce kochać silnie, kto chce wyższe dzieła miłości spełniać, musi tę cnotę posiadać. Stara piosenka,

która woła: Ach bez miłości jakże-by żyć powinna była dołożyć jako uzupełnienie; bez miłości, która jest tak odważną, że nie ulęknie się trudu, nie cofnie przed ofiarą, nie opuści rąk, gdy trzeba dźwignąć życia brzemień ciężkie.

A życia tego doświadczenia różne zachodzą nam drogę. Każdy z nas, aby nie utracić dobra swego, pilnować go musi, musi strzedz skarbu, bez którego uczulby się biedakiem, i w małżeństwie tak też postępować należy. Życie we dwoje potrzebuje być pewnego rodzaju umiejętnością, miłość tu jest i powinna być podstawą najpierwszą, gruntem, na którym przecież wyrosnąć powinien szacunek wzajemny, bez którego miłość trwałaby e nie może, bo w takim razie jest to namiętność jedynie, więc ogień słomiany—fajerwerk, który wybuch w górę słupem blasków, gasnących przecież prędko. Usuwać sobie z drogi wszystko to, co może sprowadzić dysharmonię, zamącić spokój, jest tu warunkiem bardzo ważnym, a żona posiada jeden z kluczy, który otwiera tu drzwi do przyhytku cichego, słodkiego spokoju, bo jest ona podskarbiną chleba rodziny. Oszczędność, która niczemu zmarnować się nie pozwoli, która wszystko zabiegliwie do kupki składa, ma tu znaczenie niemałe, ale nie jest to wszystko, jest to nawet rzecz nie znacząca, nie zapobiegająca niczemu, jeżeli tylko skala życia rodziny nie została rozsądnie urządzona.

Życie nad stan jest nieszczęściem i razem winą. Energia, którą wyczerpujemy tu, zapobiegając brakom, siląc się na pracowitość, nietylko mało co pomoże, ale marnuje się nędznie i tak rozprasza w drobnostkach lichych, że brakować jej może tam, gdzie byłaby cnotą i zasługą. Matka rodziny, która ma urabiać dusze dzieci swoich, czyż może im przedstawiać ideał życia wyższy, tonąc cała w drobnych zabiegach takich, które grożą z groszem stykać każą nie dla tej konieczności, która jest chlebem, która jest dachem, osłaniającym przed słońcem, ale dla błyszczenia pozorem nieposiadanego mienia—dla zaspokojenia próżności. Mąż jest tu wprawdzie odpowiedzialnym, bo jako głowa rodziny powinien plan życia nakreślić i powagą swoją tak go obwarować, aby naruszonym nie był, ale czyż nie wytworzy się wtedy ta smutna walka, która nietylko męczy oboje, ale zniża stopień przywiązania wzajemnego, bo żona widzi w mężu tyrańca, on uważa ją za płochą, lekkomyślną istotę, więc utraci dla niej ten szacunek, na którym miłość szlachetna koniecznie opierać się potrzebuje.

Tak zwany świat nęci do siebie młodość zwłaszcza, która jest z konieczności ciekawą życia, obojętność byłaby tu apatią, pragnienie wiedzy życia, które jest polem pracy, polem zasługi człowieka, jest każdej szlachetniejszej istoty ludzkiej przywilejem, i młoda pani, przed którą otwiera się teraz ten świat szerszy ze swobodą nieposiadaną dotąd, musi uczuć chęć użycia tej wolności swojej, lecz będzie to stanowiło o przyszłości jej całej, w jakim kierunku użycie to zwróconem zostanie. Mąż, jako doświadczeńszy, powinien tu oddziaływać, jej przecież nie należy wyrwać się w świat lekkomyślnej, pustej zabawy, co przecież nie następuje prawie nigdy, jeżeli kocha, kocha prawdziwie, bo wtedy serce jej, słodkim uczuciem miłości przeniknięte, skłania ją do poważniejszego na świat i życie poglądu. Jakżeż dobrze, jak miło jej jest i wdzięcznie choćby w najskromniejszym domku i stara piosenka: „w lada chatee byle z nim...“ brzmieć nie przestanie przez wszystkie te wieki i czasy, dopóki kobieta będzie kochać i przez uczucie miłości czuć się szczęśliwą; potrzeba jej tu tylko do pomocy głębszego na świat i ludzi poglądu.

Mąż lepiej, zasadniej znający życie, powinien przyjąć jej tu z pomocą, skierować wzrok na podniosłe strony jej nowego istnienia, a ustrzeże ją to od fałszywej ambicji, fałszywej tej dumy błyszczenia pozorami nieposiadanego dostatku, jaką wyrabia świat, otaczający zwykle młodą kobietę. On, towarzysz jej „aż do śmierci“, niech jej tu poda rękę, aby o ramię jego wsparta nie zachwiała się, nie zmęczyła, a podpora ta jest jej tak potrzebną, jak jemu wpływy jej uczuciowości. „Życie nie jest poematem!...“—woła poeta, ale może tu być ta poezja uczucia, z której powstają

poematy, a w procesie wytworzenia się wpływów, działających w życiu realnem, rola kobiety nie jest bynajmniej niższą od roli mężczyzny, lecz ona, tak jak on, jeżeli jest rozumna a chce być szczęśliwą, musi wyrobić w głębi swojej i do czynników życia swego wprowadzić ten rozsądek, tę uczuciowość—to najlepsze szczęście ludzkiego zapewnienia, które się mieści w spełnieniu obowiązków przeznaczenia swego. Każda też z tych, która ze wzruszeniem tkliwym wymawiała przy ołtarzu te wyrazy: „a iż cię nie opuszczę aż do śmierci...“ stać będzie obok męża wśród doli i niedoli życia mężna i wytrwała, szczęśliwa już przez to, że idą razem przez życie.

M. I.

BLUSZCZ.

Gdzie wiatrów dzika swawola

Strąca ziół puchy

I te, jak duchy,

Płyną przez pola,

W zielony płaszcz utulona,

Smutne podniosła ramiona

Topola.

Pusto, posepnie dokoła —

Przez górne szlaki

Przelecają ptaki...

I cień sokoła

Mileżaćo pomknie za niemi,

W dzień cisza, nocą zpod ziemi

Duch woła.

Przygniata biednej topoli

Piers—żał okrutny—

Łka, szepcząc, smutny

Pacierz powoli...

Słońce utula świat wszystek,

A u niej każdy drży listek

I boli.

Nie targaj niemi tak, wietrze—

Nie miotaj, wichrze!

Już coraz cichsze

Wiszą i bledsze;

I gdy nadeszła mgła biała,

Zieloność wszystką rozwiła

W powietrze.

Cóż, że się słońce promieni?

Że w srebrne dzwonki

Biją skowronki

I wzdłuż przestrzeni

Niw rój motyli ulata?

Nie dla niej godowa szata

Z zieleni!

Lecz oto, z dalekiej strony,

Wiatr ziarno cisnął

Do stóp jej.—Błysnął

Listek zielony...

I wzniosł się powój od ziemi,

I oplótł drzącą drzącami

Ramiony.

I coś tam szepce jej zcicha,

Wiatr w pierś swą chwyta...

Bluszczem okryta

Precz żal odpycha—

Tulona drogiem ramieniem,

Drży z szczęścia; kochanka tchnieniem

Oddycha.

Kazimierz Gliński.

Pogadanka o pamięci.

Pamięć—jest to dar natury, rozwijający się często w sposób tak kapryśny, że zadziwiać i zastanawiać nam się może, ba, jakże często się zdarza, że godzinami całymi męczymy daremnie głowę, aby przypomnieć sobie jakąś rzecz, doskonale znaną—i kiedyśmy już, znużeni bezowocnym trudem, zaniechali mozolnego wysiłku i zapomnieli nawet o nim, taż sama, nieuproszona przed niedawnym czasem pamięć, jakby przekomarzając się z nami, niewiedomo z kąd wywołuje z głębi naszej wyobraźni tak długo szukany obraz, z wyrazistością i plastyką wszystkich najdrobniejszych szczegółów.

Często znów myśl jakaś utkwii ówiekiem w głowie i niepodobna pozbyć się jej na chwilę, lub też dźwięki, słyszanej kiedyś melodyi brzmiały nam w uszach przez dzień cały, a gdy znużeni zasypiamy, ciesząc się, że noc rozwieje narzeszcie uparte to wrażenie, budzimy się nazajutrz z mózgiem pracującym nad tą samą myślą lub też w uszach brzmiały te same dźwięki, bo pamięć zatrzymała wrażenie i przez noc przechowała je nienaruszone. Zdarza się także, iż bez żadnej jakoby przyczyny budzi się nagle w naszej wyobraźni wspomnienie jakiejś miłej, rozkosznej, dawno minionej chwili, — spróbujmy przecie rozwiązać dalej uroczę widzenie, lub też zechciejmy uprzymknąć sobie to, co je poprzedzało, co się z niem łączyło, figlarny chochlik zapomnienia rzuci wtedy na oczy twoje tak gęstą zasłonę, że najmniejsze światełko przez nią się nie przedostanie i widzenie przed chwilą wyraźne, zaciera się, — pamięć twoja już go zatrzymać nie zdoła.

Nierównomierność podziału, z jakim pamięć dary swoje pomiędzy ludzi rozsiewa, jest też wielka. Uczony, który pamięta z niezawodną ścisłością najdrobniejsze przyczynki i daty, mające związek z rozwojem naukowym, nie jest w stanie zatrzymać w pamięci przez godzinę, najzwyczajniejszych wypadków z codziennego życia, jak to stwierdzają liczne przykłady. Uczony filolog Lipsius, tak był pewnym pamięci swojej, że pozwalał stać nad sobą z nabita bronią i strzelić, jeśliby przestawił jeden wyraz, recytując wszystkie dzieła Tacyty z pamięci; lecz i umysł nie posiadający żadnych podstaw naukowych, nie rozwijany, ani kształcony prawidłowo, zadziwia nieraz uczonych możliwością kombinowania olbrzymich szeregów cyfr, a czynności tej dokonywała li tylko przy pomocy wyjątkowej pamięci.

Słowem, nie brak jest zadziwiających przykładów, w najrozmaitszych kierunkach działania w nas pamięci. Zapytać więc trzeba: czemuż jest ta pamięć? Jaka praca w nas się odbywa, gdy dawno przeżyte zdarzenia, przed laty powstałe myśli, słyszane opowieści, słowa, czy dźwięki, odradzają się w naszej wyobraźni z całą świeżością i siłą?

Dużo rozprawiano i pisano o tem, zanim badania oparły się na pewniejszych podstawach. Wszystko i nie nie określające wyrazy jak: „Poteęga myśli“, „kojarzenie się pojęć“, już nie wystarczały; szukano objaśnień bardziej zrozumiałych, których rezultatem było wiele poważnych i wyczerpujących prac na tem polu. Od tego czasu przecież, gdy przyrodznawstwo coraz więcej dąży do tego, aby i pozazmysłowe przejawy życia podciągnąć pod zasadę mechanicznych przyczyn, zjawiska wyobraźni i pamięci poczęto też uważać za przejawy, oparte na tejże zasadzie, co, w pewnych granicach, nie jest bezpodstawnem. Naturalnie, inną rzeczą jest pytanie: czy w mózgu,—jak to radykalni przedstawiciele tej nauki chcą widzieć—szukać należy poczęcia się wszelkich duchowych przejawów w człowieku, a inną uważać mózg za narzędzie, które w swej tajemniczej dla nas funkcji myślenia posiada zdolność odżywiania się przez wyobraźnię i pamięć, jak inne organa jedynie przez krążenie krwi.

Już w XV-em stuleciu spotykamy się z mniemaniem, iż szczególnem siedliskiem duchowych

zdolności jest mózg, a nawet znajdujemy wzmianki o tak zwanym „młotku czarnoksiężkim,“ którego to średniowieczny sędzia, pełen najciemniejszych zabobonów, dopatrywał się w indywidualach, oskarżonych o magią i czary.

W owych, bardzo odległych, czasach uczeni przedstawiali sobie, że wyobraźnia ma swe siedzisko w środkowej części, zbiornikiem zaś pamięci jest tylna część mózgu. Pojęcie to już z tego względu dziecinna się wydaje, ponieważ tam, gdzie jest wyobraźnia, musi też mieścić się i pamięć. Należałoby więc chyba przypuścić, że wyobraźnia w środkowej części poczęta, przenosi się jakimś sposobem do części tylnej mózgu i tam, jako wspomnienie, w odnowionym kształcie znów powstaje.

Dziś nie bawimy się już w podobne przypuszczenia. Wiadomo, iż jeśli rozbudzamy wyobraźnię, czy to za pośrednictwem zmysłów, czy przez kojarzenie się myśli i pojęć, budzimy jednocześnie zdolność wywoływania obrazów naszej pamięci. Poglądy, w jaki sposób wywołuje się wrażenia dawno minionych zdarzeń lub zapomnianych myśli, są bardzo podzielone. Z jednej strony idealizm pragnie sprowadzić wszystko do pojęcia pozazmysłowych, z drugiej materializm chciałby w całym procesie myślenia i czynności zatrzymywania wrażeń widzieć jedynie atomy, tkanki i molekularne przemiany; nie możemy też zapominać o wyrażeniu Karola Vogt'a, który twierdzi, że: „myśl jest w tym stosunku do mózgu, w jakim żółć—do wątroby.

W świecie laików naukowych spotyka się utarte mniemanie — o odbijaniu się danych pojęć w mózgu tak, jakby myśl pozostawiała tam ślady, na podobieństwo sztyfcika, który pod działaniem drgań, czyli dźwięków, rysuje znaki na woskowym walcu w fonografie. Dalej twierdzą, że mózg koniecznie wywołuje przypomnienie przeszłych obrazów, gdy znajdzie się przyczyna budząca odbite niegdyś w mózgu wrażenia. To rozbudzenie stać się może, z jednej strony—za wolą danego osobnika, który dopóty szuka, przebiera w swej pamięci, aż trafi wreszcie na miejsce o które mu chodzi i odczytuje przed laty wyrte tam hieroglify; z drugiej zaś strony—zewnątrzne przyczyny jak: słowo jakieś, twarz czyjaś, głos, nawet zapach, mogą podziałać na odbite w naszym mózgu wrażenia i drzemiące wspomnienia ożywić.

I to pojęcie daje się zbić tem, że mózg, tak samo jak wszystkie inne części naszego organizmu, podlega ciągłemu zużyciu i wymaga bezprzestannego odżywiania przez napływ krwi świeżej. W takim nieustającym obiegu materii nie może być żadnych cząsteczek, któreby pozostawały w spoczynku i mogły mechanicznie otrzymywane wrażenia przechowywać przez szereg lat długich: jeżeli więc przejawy naszego organizmu w czynnościach mózgu grają tak ważną rolę, to praca mózgu musi być tak urządzona, aby zużywanie się i odżywianie naszej ziemskiej powłoki nie stanowiło dla tej pracy najmniejszej przeszkody.

Spotykamy tysiące innych jeszcze dowodów, które przeczą mniemaniu, iżby w mózgu pojęcia i wrażenia odbijały się mechanicznie, a dowody te wykazują jak trudną jest do zbadania praca mózgowa. Weźmy, na przykład, pod uwagę niektóre wybitne przykłady pamięci, z różnych epok—i postawmy sobie pytanie: czy taka ilość wrażeń, jaka w tych przykładach występuje, dałaby się odbić i utrwalić w mózgu, kiedy wiadomo, że tenże u większości ludzi jest wstanie objąć naraz tylko jedno pojęcie.

Przechowało się podanie, że Temistokles pamiętał nazwiska 20.000 Ateńczyków. Cyrus, Mitydat, Scypion, cesarz Hadryan posiadali podobno fenomenalną zdolność pamiętania nazwiska każdego żołnierza, w swoich olbrzymich armiach. Włoch Scaliger w przeciągu 20 dni nauczył się na pamięć całej, 15.210 wierszy liczącej, Iliady, co mu nie przeszło do znalezienia w mózgu miejsca i na Odysseję. Szwajcarski uczonec August Forel opowiada o znajomej sobie kobiecie w podeszłym już wieku, która bez omyłki wykonywała z pamięci cały szereg najtrudniejszych dzieł muzycznych, jak: koncertów, oratoryów, oper i t. p., powtarzając

nie tylko odezwanie się każdego z osobna instrumentu, ale i całe libretta.

Po tych zatem, wyżej przytoczonych przykładach, dochodzimy do koniecznego pytania: w jaki jednak sposób mózg przechowuje wrażenia? Najprostszą i najrozumialszą byłaby na to pytanie odpowiedź, że w podobny sposób, jak gimnastyk powtarza swoje ćwiczenia.

Nie hazardowne skoki, ani inne trudne ćwiczenia oddziałują na mięśnie, ale zdolność tychże do produkowania owych ćwiczeń, i tak samo rzecz się ma z pamięcią. Nie wrażenia, ani pojęcia odbijają się mechanicznie w mózgu, lecz tylko w nerwach i substancji mózgowej wyrabia się zdolność, aby otrzymane wrażenia, ponownie wywoływać było można.

Mózg nie jest naczyniem, któreby napełniać można wrażeniami i pojęciami, lecz organem pracującym, dla którego, tak jak dla mięśni, te ćwiczenia są najłatwiejszymi, które się najczęściej powtarzają.

Wspomnienia z naszych lat dziecięcych przechowujemy dlatego do najpóźniejszej starości, ponieważ w owych dziecięcych latach, mózg jest najmniej zajęty, a jedne i te same wrażenia bezprzestannie się odnawiają. Wykonywane przez nas codziennie czynności lub ruchy, jak: mycie się, czesanie, ubieranie, i t. p. przechodzą w przyzwyczajenia, to jest pamięć o nich zostaje tak wyćwiczoną, że już nie potrzebuje żadnego w tym kierunku wysiłku. Przeciwnie zaś dzieje się z pamięcią, jeśli nie ćwiczymy jej powtarzaniem rzeczy tych nawet, które zdają się już w niej utrwalone; nieraz np. ludzie, którzy dłuższy czas przebywali w jakimś obcym kraju, zapominają stopniowo języka owej miejscowości, skoro tenże wyjdzie im z użycia, co znaczy wtedy, kiedy przestaną słyszeć go i powtarzać jego dźwięki.

Kto nazbyt swój mózg przesycę siłą coraz nowych wrażeń a nie daje mu sposobności do prawidłowej pracy powtarzania zdobytych pojęć, ten grzeszy przeciwko własnej pamięci, której nie wygimnastykuje bynajmniej i rezultat często bywa tu takim, że niezapamiętanem przezeń nie będzie. U osób czytających wiele powieści, spotykamy prawie zawsze pamięć bardzo rozstrzeloną, zdarza się to również u tych, którzy zbyt gonią za rozrywkami nie pozwalając zatrzymywać się myśli na jednym przedmiocie.

Do jak olbrzymich rezultatów może dojść wyćwiczona praca naszej pamięci, dowodzą przytoczone już przykłady, do liczby których dodamy jeszcze dwa: matematyka Wallis'a i Dase'go, — którzy rozwiązywali z pamięci takie zadania, jakiem zwykle podobać tylko można przy pomocy długich działañ, spisanych na szeroki arkuszach. Że siła pamięci u rozmaitych ludzi rozmaicie się przedstawia, nie powinno nas dziwić wcale, bo zdolności ludzkie bywają nader nierównomierne i w bardzo różnych kierunkach rozdzielone. zatem i z pamięcią tak samo dzieć się musi, ponieważ ta pracuje najsilniej w kierunku naszego właściwego uzdolnienia.

Różnorodność bogactwa wspomnień dowodzi jeszcze jasniej, że pamięć nie jest jedynie zdolnością, mieszczącą się obok innych naszych duchowych przejawów, któraby miała siedzisko w jakiejś odrębnej komórce mózgu, lecz tylko, że jest podstawową własnością materii. Postępując też za tą myślą można by i mięskom przypisać rodzaj pamięci, bo czyż nie wykonywają naszej woli z tem większą łatwością, im więcej bywają wyćwiczone? Idąc jeszcze dalej, spotkamy siłę, pokrewną pamięci w całym państwie żyjącej natury. „Wszelka organiczna materia posiada szczególną własność odżywiania się przez zdolność odżywiania swej pracy i zużywania się przez spoczynek—twierdzi wspomniany już wyżej professor Forel. Cały wszechświat podlega też temu prawu. Najdrobniejsza cząsteczka, atom każdy, tak dobrze jak najdoskonalej wykształcony organizm trwa tak długo, jak długo posiada zdolność powtarzania właściwych sobie czynności.

Zasada pewnego wyćwiczenia pamięci jeszcze wyraźniej występuje wobec prawa dziedziczności. Niektórzy znakomici badacze zaszli tu tak

daleko, że oprócz indywidualnej pamięci danego osobnika przypisują mu nadto pamięć i gatunku. Instykt, który każe młodemu pajakowi prząść siatkę, lub też ptakom w jesieni ciągnąć do cieplejszych krajów, przedstawia się nam zupełnie zrozumiale, jeżeli uważać to będziemy za pamięć gatunku, przechodzącą z pokolenia na pokolenie; ale wróćmy do naszego właściwego tematu.

Długą jest droga wiodąca od ogólnej własności materii powtarzania się w jednej i tej samej formie, aż do rozwiniętych skarbów pamięci u ludzi, posiadających jedynie pamięć świadomą siebie i samodzielną. Spotykamy wprawdzie zadziwiające tego przykłady u zwierząt, szczególniej u słoni, psów i koni, jednakże wszystkie objawy ich pamięci ograniczają się do pragnień naturalnych zwierzęcia i są od jego woli w zupełności niezależne. Wszystkie objawy tego rodzaju przedstawiają się zawsze tylko jako przypomnienie jakiejś rozkosznej, albo niemiłej chwili, a obraz jej wywołany bywa w pamięci zwierzęcia przez niezawisłą od niego przyczynę—instykt. Zwierzę nigdy ze świadomością i rozmysłem nie przedstawia sobie rzeczy przeszłych, brakuje mu tutaj najgłówniejszego rzeczy warunku, to jest zdolności swobodnego myślenia bez bezpośredniego działania zmysłów na pracę mózgową.

Ponieważ więc pamięć związana jest z przejawami substancji mózgowej, siła pamięci musi zatem być zależna od tego organu i tak też dzieje się w istocie. Któż nie zauważył, jak u starców, nawet jeszcze dość rzeźkich, pamięć powoli zanika. Znaczy to, że naczynka krwionośne mózgu ulegają stopniowemu zużyciu, z początku słabnie pamięć o rzeczach, które nie są mocno związane z wypadkami osobistymi, potem zatracają się wspomnienia faktów dotyczących życia własnego, albo życia blizkich nam osób, w końcu zaś starzy dochodzą do takiego zaniku pamięci, że po 10 razy na godzinę pytają o rzecz jedną i tą samą, aby z równem zawsze zadziwieniem słyszeć jedną i tą samą odpowiedź.

Najdłużej, jak to już wspominaliśmy, przechowują się wspomnienia z wieku dziecięcego, co raz jeszcze powtarzamy, aby w czytelniku utrwalić pojęcie o pracy mózgowej. Przy kształceniu dziecka powinno się też zwracać baczną uwagę na jego uzdolnienie i nader ostrożnie należy obchodzić się z jego pamięcią. Rozwijanie się mięskółów za pomocą gimnastycznych ćwiczeń wyrabia siłę i sprężystość mięśni, atoli zbyt ryzykowne i przedczesne próby w tym kierunku często zły wydają skutek i zamiast rozwijać osłabiają mięskóły, nierazko grożąc nawet kalectwem. Tak samo rzecz się ma z pamięcią. Ileż to cudownych dzieci wyliczyć — byśmy mogli, które dorósłszy, stanęły niżej od zwykłych, przeciętnie zdolnych ludzi! Nieumiejętne, zbyt forsowne wyzyskiwanie ich pamięciowych zdolności w dzieciństwie, tak osłabiło działanie i rozwijanie się substancji mózgowej, że organ ten zaledwie nader słabo mógł się w dalszym ciągu kształcić.

Pamięć jest nadzwyczaj elastyczną. Z pamięci miernej przy umiejętnem jej gimnastykowaniu można otrzymać pamięć dobrą, z dobrej doskonałą, a to wskutek tego, że wobec ogólnego postępu we wszystkim i w kierunku kształcenia, wychowywania dzieci widzimy wielką zmianę na lepsze. Szkołki, zakłady freblowskie, których jest obecnie coraz więcej u nas, dobrze wpływają na stopniowe budzenie się i wzmacnianie pracy mózgowej u dzieci, a dla zachowania dobrej pamięci w wieku późniejszym okrasz naszego dzieciństwa do lat 10-ciu stanowi najtrwalszą podstawę.

Z. S.

BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANĘ GROT. BĘCZKOWSKĄ

(Dalszy ciąg).

XIV.

Marcowa pogoda. Któż jej nie zna? Wietrzyk niby nie wielki, a jednak przejmie do szpiku kości; deszcz drobny, powolny, rozmiękcza ziemię, tworzy błotniste kałuże... słońko, chociaż wyrzy czasem z pędzących po niebie obłoków, to blade jakies i chowa się zaraz jakby przestraszone.

Brzydko, smutno na świecie, a w Bielowcach chyba najsmutniej.

W pokoju chorego siedzi Halina z matką. Szary koloryt nieba szarym też cieniem padł na ich dusze. Obie kobiety są bardzo smutne.

Halina obraca w rękę jakąś robótkę, ale szydełko zbyt często zatrzymuje się w smukłych palcach bezczynnie i wzrok biegnie do okna, ku tym obłokom, co wichrem gnane uciekają gdzieś tak szybko, tak szybko!.. Ach, jak ona im zazdrości! Gdyby tak można uciec, skryć się gdzie głęboko przed tym okropnym bólem, który serce szarpie! Wspomnienia słonecznej przeszłości uderzają w nią z całą siłą. Z dziwną drobiazgowością odtwarza sobie dziewczę w pamięci rozkoszne chwile, których wprawdzie nie miała zbyt wiele, bo je miłość nieodwzajemniona skróciła, ale to były rajskie chwilki i jak skarb najdroższy nosi je głęboko w sercu wyryte.

Blade usta Haliny wobec tej wędrówki myśli ku przeszłości, uśmiechają się często najboleśniejszym z uśmiechów. Uśmiech to aż nadto wyraźny.

Pani Bielowska, patrząc na córkę, odgadywała jego znaczenie i serce jej rwało się ku niej z pocięcią i pieszczotą.

Stosunek matki z córką, aczkolwiek o wiele serdeczniejszy niż dawniej, nie wyrównał się jednak do tyłu, aby obudził zaufanie i ściślejszym węzłem połączył te dwie harde istoty.

Matka nie mogła upokarzać się zbyt znacznie; córce, zaślepionej miłością dla nieszczęśliwego ojca, z trudnością przychodziło przebaczyć i zapomnieć: spędzały więc niejednokrotnie godziny całe w pokoju chorego, obce sobie myślami i milczące.

Szary koloryt, najnieznośniejszego z dni marcowych, delikatną w istocie i wrażliwą p. Klotyldę smutniej niż kiedykolwiek usposobił. Patrzyła z boleścią na męża, z żalem na córkę. Halina wydawała się bardzo zmienioną i matka z trwogą myślała o tem, czy cios ostatni nie był za silnym dla tej wątłej istoty.—Trzeba bądź co bądź wyrwać ją z chorobliwej egzaltacji i przerwać nitkę wspomnień—szepnęła do siebie i, łagodnie, głęboko wzruszonym głosem zaczęła opowiadać córce dzieje swego dzieciństwa, potem marzenia i sny tęczowe, poznanie się z mężem i to, co nastąpiło w ciągu lat ubiegłych.

— Kochałam głęboko twego ojca, Halinko — mówiła rozrzewniona — Kochałam go prawie od pierwszej chwili poznania. Gdybyśmy się byli w innych warunkach spotkali... Ale przypadek odegrał tu rolę bardzo złośliwą i serce moje pozornie oderwał od męża. Materyalne położenie moich rodziców było okropne. Zawsząd groziła ruina, zjeżdżali się wierzyciele, byłam nieraz świadkiem scen tak poniżających, że jedyną myślą, jedynym marzeniem moim było wyswobodzić się z tego piekła za jakąkolwiek cenę. Pierwszy raz ujrzałam twego ojca w dniu bardzo dla mnie przykrym. Licytowano nas. Będąc młodą, lubiłam bardzo muzykę, kochałam ją nawet. Fortepianowi zwykłam była powierzać smutki me

i nadzieje i też instrument ten był drogim dla mnie.

Stałam właśnie z dłonią, opartą na białych klawiszach, jak gdybym bronić ich chciała przed zabierającą ręką, z oczami łez pełnymi, nie wiedząc i nie słysząc prawie co się koło mnie dzieje. Jak długo stałam, nie wiem. Ocknęłam się z gorzkiej zadumy dopiero wówczas, gdy obca jakaś ręka na mojej spoczęła. Podniosłam oczy... Przede mną stał mężczyzna o wyniosłej, pełnej godności postawie, o twarzy, nie pięknej wprawdzie, ale szlachetnym i sympatycznym uderzającym wyrazem.

— Fortepian jest zapewne przyjacielem i powiernikiem pani, w chwilach samotności lub smutku — rzekł życzliwie. — Przykro pani rozstać się z nim... Nieprawdaż?

Czułam, że blednę... Niewytłomaczony wstyd wraz z głębokim żalem do rodziców, że prawie w wstępie do życia rozrzutnością swoją zgotowali mi taką ciężką chwilę, noc poprzednio spędzona bezsennie—sprawiły, że się zachwiałam i blizka omdlenia, wyciągnęłam instynktownie ręce przed siebie, szukając ratunku.

Twój ojciec, Halu, ujął mnie w objęcia, położył na kanapie i pobiegł po matkę. Wprędce przyszedł do siebie. Nie chciałam jednak spotkać się z nim i uciekałam do swego pokoju, aby się swobodnie wypłakać. W godzinę potem matka przybiegła do mnie rozpromieniona.

— Zapłacił, zapłacił — wołała, klaszcząc w ręce, nieprzytomna prawie z radości. — Jesteśmy ocaleni! Kłociu, Kłociu, czy ty słyszysz?

Na razie nie nie pojmowałam.

Matka dopiero tłumaczyć mi zaczęła, że ten mężczyzna, który mnie trzeźwił, nazywa się Bielowski, że odniedawna jest naszym sąsiadem, że jest bardzo bogaty, a przyjechał na licytację dlatego, że chciał kupić bibliotekę, o której słyszał, iż cenne dzieła posiada.

— Prawdopodobnie twoja piękność go oczarowała,—dodała matka, całując mnie... ale, wyznaję, że się niechętnie usuwała od pieszczoty.

Zrozumiałam wszystko i rumieniec upokorzenia wybiegł mi na twarz. Srodze duma moja cierpiała.

W parę dni potem mąż mój przyjechał powtórnie. Kilka godzin z rzędu rozmawiali w gabinecie ojca, poczem, nie widząc się z nami, odjechał, zostawiwszy mego ojca oszołomionego szczęściem.

Długi nasz zostały spacone, Zapole uratowane. Uszczęśliwieni rodzice układali już plany na przyszłość, jam uciekla w najciemniejszy kąt parku i płakałam rzewnie. Potem, ilekroć razy Józef mój przyjechał, chociaż serce wyrwało się ku niemu, uciekałam. On inaczej to rozumiał i cierpiał, ja cierpiałam nie mniej...

Pewnego dnia rodzice mi oznajmili, że p. Bielowski oświadczył się o moją rękę.

„Nie przypuszczając, abyś odmówiła, przyjąłem — rzekł ojciec. — Partya to świetna, nie potrzebujesz jednak czuć się skrupowaną. Ty nie masz posagu, ale wprowadzisz męża w najarystokratyczniejszą rodzinę. Bielowski, jakkolwiek szlachcie karmazynowy, nie może się z nami równać. Radzę ci powtarzać mu to często. Zrobił dla nas wiele, ale kierował też nim i osobisty interes. Za taką cenę mógł się tylko ośmielić żądać twej ręki...”

Milczałam oburzona. Żywa sympatya, jaką czułam dla mego przyszłego męża, ustąpiła miejsca nienawiści.

P. Bielowska zamilkła i zasłoniła twarz rękami. Halina słuchała opowiadania matki z gorączkowym zajęciem.

— Mów dalej, mateczko, proszę cię... — szepnęła, a potem, nie namyślając się, podeszła do matki i u nóg jej usiadła.

P. Klotylda położyła rękę na głowie córki.

— Nie wesołe to dzieje dziecko najdroższe — kończyła opowieść swojej coraz smutniejszą. — Jak łatwo pojąć możesz, jedno nieporozumienie wywołało tysiące innych. Ja milczałam, czując głęboki żal do męża, że mnie kupił jak rzecz, jak towar jaki... on, odbierając kamienną obojętność lub ironiczny uśmiech na wszystkie przysięgi i zapewnienia miłości, myślał, że go nie kocham i chciał nawet zwrócić mi słowo, ale rodzice nie

dopuszcili tego. Pobraliśmy się... A jakiej-że to smutnej pamięci dla nas obojga, był nasz dzień weselny! „Patrzciej jaka piękna, jaka piękna!” słyszałam w około siebie szmer pochlebny, który i on słyszał. „Sprzedała się arystokratka” — dorzucił ktoś złośliwy, a muszę ci powiedzieć, że rodziców moich nie lubiono ogólnie za ich niepojętą dumę.

„Szkoła go; pocziwy człowiek i tak się złapał na wodę i szumne nazwisko” — mówili inni, a ja bladłam i ślaniałam się prawie, idąc przez kościół, w kosztownych adamaszkach przerabianych srebrem i klejnotach, o które matka moja wczasu upomnieć się potrafiła. O drogie dziecko, czyś ty zdolna pojąć nawet, co czuliśmy oboje, wracając od ślubu, połączeni nazawsze! Dusił mnie lzy powstrzymywane, upokorzona duma wygnęła wszelkie łagodniejsze uczucia.

Twój ojciec... Kropliste lzy spadły na pochyloną u nóg matki głowę kaliny. — Twój ojciec cierpiał bardzo. Widać to było po jego zmienionej twarzy, po febrycznym dreszczu, który ciałem jego wstrząsał. Przeleżałam się, gdy m przelotnie rzuciła nań okiem. Nie zmiękałam jednak. Drżącą ręką męża, który nie miało głowę moją do piersi swej chciał przytulić, odtrącałam szorstko i wyrzekłam słowa okrutnej zniewagi. Zbladł jak trup, ale się nie rozgniewał.

„Zraniona jesteś, gołąbko moja biała — szepnęła tklawie. — Przebaczam ci”. I nie mówiliśmy już nigdy o uczuciach naszych, Halino. Nigdy w ciągu tylu, tylu lat z sobą przeżytych! Ja zasklepiam się w swojej dumie i obrażonej godności; on, przekonany, że go nienawidzę, usuwał się i nigdy, nigdy nie narzucił mi swej miłości. Jaką byłam żoną dla mego szlachetnego, najlepszego męża, widziałaś sama; twoje niewinne oczy już od dzieciństwa patrzyły na mnie z bojaźnią i niechęcią. Bolała cię krzywda, jaką wyrządzałam temu, którego obie kochałyśmy nad wszystko...”

Bolesny, spazmatyczny płacz przerwał jej mowę. — Czy ty wiesz, com j wycierpiała? — szepnęła, rzucając się na kolana przy łóżku męża. A przemów, przemów do mnie, mój najukochańszy, spojrzij choć raz jeden i powiedz, że mi przebaczasz, żeś usłyszał spowiedź mego serca, które cię kocha bez granic... — Ale martwe źrenice nieszczęśliwego nie poruszyły się... Nie zadrgnęły usta, by rzucić słowo przebaczenia rozpaczającej kobiecie.

Halina, osłupiała, drżąc, z całą burzą nowych, nieznanych dotąd uczuć w piersi, rzuciła się ku matce.

— Matko, matko! on ci przebaczył! — wołała tułac głowę matki do serca.

— Przebaczył i kochał cię, tak bardzo kochał, jak ja cię kocham w tej chwili. Wszystkie lzy gorzkie wypłacz na moim sercu, moja ty najdroższa matko, i staraj się zapomnieć o przeszłości, żyjąc dla dziecka swego i dla niego. Będziemy teraz wspólnie kochały go, więcej jeszcze, jeżeli to możliwe, a potem, potem... matko, czyż ty o tem nie wiesz?... Najdobrośliwszy Stwórca pozwoli nam spotkać się jeszcze kiedyś tam, gdzie już bóle i smutki przystępu nie mają.

Rozjaśnione głęboką wiarą oczy podniosła w niebo, rozpacz szalejąca w piersi matki uciszyła się...

— Tam się spotkamy i zrozumimy — szepnęła z wyrazem nieopisanego szczęścia, idąc za wzrokiem Haliny. — Boże, dzięki Ci są tę chwilę ulgi i za to dziecko, któremu nie warta!

XV.

Przededrzwiami wiodącymi do sypialni babki stała Wandzia, bledsza jeszcze niż zwykle i bardzo smutna. Oparła rękę na klamce i westchnęła ciężko. Trzeba się było zdecydować nareszcie i wejść...

Pani Kamieniecka odpoczywała na kanapie, a na jej twarzy, pooranej zgrzytotami, słoneczny uśmiech zabłysnął, gdy spostrzegła wchodzącą Wandzię.

— Co cię sprowadza do mnie o tej porze, kochanko? — pyta, wyciągając do wnuczki rękę. — Myślałam, że jesteś na zwykłym spacerze z Jurkiem.

— Jurek trochę nie zdrów, babuniu — odparła, klekając na aksamitnym podnóżku u nóg babki. — Ospa panuje we wsi... Boję się!..

— Masz słuszość, dziecko; lepiej niech nie wychodzi. — Czy skarży się na co?

Pocziwa babka zatrwożyła się...

— Głowa go boli... ma trochę gorączki...

Wandzia odpowiadała na pytania z miną zakłopotaną i uciekała z oczami przed wzrokiem babki.

Zapanowało milczenie. P. Kamieniecka rozmyślała, jakiego najskuteczniejszego lekarstwa wydobyc ze swej apteczki dla biednego Jurka, Wandzia także coś w myśli ważyła. Zapomniała nawet o obecności babki i machinalnie, zapatrzona w otwarte okno, przez które zaglądała ciekawie obsypana wonnym kwieciami lipa, ocierała łzy, zwolna po policzkach płynące.

— Wandziu, co to? — spytała, spostrzegłszy ją, babka. — Czemu płaczesz? — Jurek jadł przecież obiad z nami i nie wyglądał na chorego?

— Ja też nie tego płaczę, babuniu — rzekła, tłumiąc łkanie, Wandzia. — Mam inne jeszcze zmartwienie, ale mi żal babuni i sama nie wiem, czy mam ten list pokazać? — Babcia się zmartwi... Babci zmartwienie tak szkodzi...

— Nie dziwacz się, dziecko — odparła zniecierpliwiona i przestraszona Kamieniecka, siadając na kanapie.

— Zdrową jestem i możesz mówić ze mną swobodnie. O jakim ty liście mówisz, dziecino? Ujęła ją pod brodę i rozplakaną twarzyczkę podniosła ku sobie.

— Nie spuszcza głowę i mów odrazu. Proszę cię, Wandziu!..

Wandzia sięgnęła do kieszeni fartuszka i wyjęła pachnący, z haftowanymi złotem brzegami liścik. — Lorcja pisała do mnie — rzekła cichutko. — Wczorajsza poczta przywiozła list, ale nie chciałam go przed nocą babuni pokazać.

— Poszukaj mi okularów, dziecko — rzekła Kamieniecka. — Moja Wandziu, cóż tam jest w tym liście? Zaniepokoiłaś mnie... Ale Lorka zdrowa? To nie o nią chodzi?

— Nie, babuniu. Niech się babcia czytaniem nie męczy; ja przeczytam...

Rozłożyła arkusik welinu i powoli czytać zaczęła:

— „Droga moja Wandziu — pisała Lorka, zwykłym swoim bezładnym stylem, przeskakując z przedmiotu na przedmiot — jestem zła, okropnie, okropnie zła!.. Ty nawet pojąć tego nie możesz, siostrzyczko, bo jesteś tak szczęśliwie ukształtowana, że się obywatel bez krwi, nerwów, uczucia, i t. d. Nie studiowałam medycyny, więc nie potrafię tego, co o tobie myślę, jasno i kategorycznie wyłożyć; ale ty mnie rozumiesz; wszak prawda? Otóż, nie z naszego przyjazdu do was! A tak się cieszyłam! Całowałam już w myśli niejednokrotnie ręce naszej świętej babuni na powitanie — a że ona święta, to fakt. Nie darmo z mamą tyle lat przeżyła. Nawiasowa uwaga, ale mi się sama pod pióro nasunęła. Wyobraź sobie, że mama jest coraz kapryśniejsza a babcia Dolewska jeszcze ją wciąż do irytacji pobudza. Mówię ci — że z babcia niepodobna wytrzymać. Nie dziwnego; babcia już bardzo stara i nieraz się dziwią, że babcia taka jeszcze żywa, tak ją wszystko interesuje... Czasem chciałabym uciec do was, do cichego, spokojnego waszego życia, ale wprędce, nie wyjechawszy jeszcze, zawracam z powrotem i z pustym śmiechem pytam się samej siebie: Cobym ja tam robiła? Tak, moja Wandziu, niestety! Jestem rezbawiona, rozfiglowana jak młody kociak i nie umiałabym już teraz żyć inaczej. Okrutnie się bawimy: bale, pikniki, majówki, koncerty następują jedno po drugim. Mama jest niezmordowana. W Poniedziałek grała na cel dobrotczywny jakiegoś marsza czy coś podobnego, (jak wiesz ja się na tem nie znam i wartość muzyki oceniam jedynie w tańcach). We Wtorek śpiewała na założenie ochrony, w Środę występowała w teatryku amatorskim, także pod podszewką jakiegoś miłosierdzia, w Czwartek był bal u hra-

biny Zofii, na którym mama kwestowała, uśmiechając, wzamian za monetę, którą obdarowani radzi nie radzi składali do koszyczka. Wiesz, to było zabawne! Mnie kazano towarzyszyć mamie i o mało nie umarłam ze śmiechu, bo wyobraź sobie: byli tam tacy, których uśmiech mamy wcale nie wzruszył. O! my tu nieraz mamy pocieszne sceny z tem miłosierdziem, ale ponieważ należy to do dobrego tonu, więc kokietujemy, uśmiechamy się, flirtujemy, a wszystko na korzyść biednych. Wyobraź sobie, miałam tu pyszną historią z hrabią Zenonem. Korzystając raz z nieobecności mamy i babci, pocałował mnie w ucho. Rozgniewałam się okropnie. Taki brzydki! postraszyłam go, że powiem mamie. Okropnie się przeląkł. Aż śmiech było patrzeć, doprawdy! — Powiem mamie, powiem, powiem, krzyczałam rozłoszczona biegając po salonie, a on za mną. Już tego nigdy nie zrobię panno Lorcju, mama o tem wiedzieć nie może. Dasz pan dla ubogich pięćdziesiąt reńskich, to nie nie powiem — rzekłam i postawiłam na swoim. Ale ty się tam pewno gorszysz tem wszystkim, co ja piszę, siostrzyczko? Doprawdy, jak się nieraz zastanowię, jaka to między nami różnica pojęć, charakteru, usposobienia, to mi się wierzyć nie chce, że jestem twoją siostrą. Ty taka dobra, rozumna, a ja taki trzpiot, z głową tylko głupstwami zajęta. Ha, trudno! Musicie mnie już brać taką, jaką jestem, i kochać choćby dlatego, że ja was wszystkich bardzo, bardzo kocham! Ale w każdym razie, proszę cię, nie pokazuj tego listu ani babuni, ani ojczulkowi. Babunia-by się zgorszyła z pewnością a ojezus wypisałby mi takie „verba“, żebym je pewno na całe życie zapamiętała. Ah, Wandziu! Bawię się, używam, mówią mi wszyscy, że piękna, są nawet tacy, aż się rumienią i lękam, abyś mi o zarozumiałość nie posądziła, są i tacy, którzy mnie nazywają zachwycającą, ale ja, mimo wesołości, czuję głęboki smutek, gdy o was myślę. Ojezulek zawsze taki mizerny, babcia niezdrów, Jurek kaleka i Kamieniec zadłużone. To jeszcze wszystko nic, Wandziu moja najdroższa, ale muszę ci się wypowiedzieć z podsłuchanej rozmowy, chociaż to nie ładnie że podслуchiwała i pewno się zmartwisz czytając, że ja to robię. Czasem widzisz, to trzeba: mianowicie, gdy ktoś jest bardzo z natury ciekawy, jak ja, naprzykład, i gdy mu wiele, wiele zależy na tem, aby coś wiedział. Wyobraź sobie, odkryłam spisek przeciwko ojczulkowi i nam wszystkim. Jak ci wiadomo, miałyśmy jechać na wakacje do Kamieniec i ojczulek z tym jedynie warunkiem pozwolił nam tu zostać. Ale cóż! Jak babcia Dolewska zaczęła mamę buntować, aż mnie złość brała. Ciągnę przedemną sekreta, zmywy jakieś, tajemnice... Oho! myślę sobie: poczekać! Muszę dojść prawdy i dosłać. Boże mój, Boże, co też ojczulek i babunia na to powiedzą? Pisałam ci już poprzednio, moja Wandziu, że hrabia Zenon u nas bywa i przynosi mamie mnóstwo kwiatów i cukierków. Kwiaty i cukierki to jeszcze nic; ale może być i moim konkurentem w przyszłości i własnymi uszami słyszałam jak babcia Dolewska nazywała mnie „decorum“. Nie rozumie dobrze, dlaczego ja jestem „decorum“ ale zdaje mi się, że to było powiedziane w tym sensie, że cukierki i bukiety można przyjmować niby dla mnie. Więc zgoda na to, bo mówiąc prawdę, namiętnie lubię kwiaty, a więcej jeszcze słodycze. Po co jednak babcia pożyczła od hrabiego pieniądze. To mi się bardzo niepodobało i martwię się i wstyd mi... Doprawdy, że jeszcze dotąd nie włożyła na siebie tej jedwabnej szkockiej sukienki, którą mi mama na Wielkanoc sprawiła, bo się lękam, czy nie z pieniędzy pożyczonych kupiona. Ale to jeszcze nie! Przed kilku dniami babcia z mamą żywą jakąś prowadziły rozmowę, a mnie — mówiąc szczerze, babcia poprostu kazała wyjść za drzwi. Jak babcia mnie tak i ja babci. Wsunęłam się więc w fałdy portyery i wysłuchałam całej rozmowy. O ile wynioskować z niej mogę, babcia, radziła mamie wyjazd zagranicę i zapewniała, że ojciec nie ma prawa sprzeciwić się mamie, skoro nie daje tyle, ile mamie potrzeba. Mama z początku gniewała się... oburzała... w końcu je-

dnakże zamilkła i — nie mogłam dosłyszeć co dalej mówiły, ale mama, cały wieczór potem była uśmiechniona i w bardzo serdeczny sposób rozmawiała z babcią. Co ty powiesz na to, Wandziu? Już wiem, że cię...“ Kamieniecka zerwała się z kanapy.

— Nie kończ, nie czytaj dalej — zawołała, wyrwijając list z rąk Wandzi. — Ależ to okropne, to straszne!

Załamala ręce nad głową i nie była w stanie ukryć rozpaczy, nie zważając na obecność Wandzi, która z przerażeniem patrzyła na nią.

— Odejdź, odejdź dziecko — rzekła oprzytomniawszy nieco. — Zostaw mię samą... — A nie mów nic ojezu, Wandziu! O! na Boga! Niechaj-że on się o tem nie dowie.

Wandzia podniosła się milcząc i powolnym krokiem zbliżała się ku drzwiom. Bała się zostawić babkę samą tak wzburzoną, ale nawykła do posłuszeństwa, rozkazowi jej opierać się nie śmiała.

We drzwiach już stojąc odwróciła się.

— Niech babunia pamięta o nas... szepnęła głosem łzami nabrzmiałym. Niech babunia się bardzo nie martwi...

Zamknęła drzwi szybko i pobiegła do szkolnego pokoju, wiedząc, że tam w tej porze, nikt boleści jej nie zobaczy.

— Nie przyjadą, nie przyjadą... — desperowała zanosząc się od płaczu, stęskniona za siostrą dziewczeczką. Żywa, śliczna Lorka była przez Wandzię ślepo, bezgranicznie kochana. — Ojezulek będzie się znów martwił, i babunia i my wszyscy... Mój Boże, jakaż mama jest niedobra!

Usiadła przy oknie i zaczęła rozmyślać. Po za bólem, jaki sprawiała jej myśl, że nie zobaczy Lorcji, uczuła jeszcze inny, więcej dojmujący ból... Rozważny jej umysł zastanawiał się zaczął nad zwierzeniami siostry i budzić szereg myśli niejasnych, bezładnych wprawdzie, ale — to jedno było zrozumiałem i wystarczającym: że mama pożyczła od hrabiego pieniądze, a ona — Wanda — wie przecież dobrze, jak ciężko ojczulkowi idą interesa i że nie będzie mógł zebrać tyle pieniędzy, aby długi mamie zapłacić. A jeszcze... ojczulek tak nie lubi pożyczyc... sprawi mu to przykrość ogromną. Pamięta przecież, ile babunia próśb użyła, nim się zgodził przyjąć pożyczkę od p. Rolskiego, bo łaki, te śliczne łaki nad rzeką, na których tyle pachnących kwiatków rośnie, nie wystarczyły na pokrycie długu Bańskiego. O jakże kocham Lorcję za to, że nie chce nosić tej szkockiej sukienki — rzekła do siebie z błogim uśmiechem. Ze strony lekkomyślnej, namiętnie lubiącej stroje Lorki, było to poświęceniem nielada. — Nie pojmuję, jak mama może słuchać babci Dolewskiej i pożyczyc...

Gwoździem utkwil jej ten wyraz w mózgu. Niechęć dla babki i matki, tłumiona dotąd, zaczęła wyraźniejsze przyjmować kształty. Pani Załęska, najbliższa sąsiadka Kamieniec, za nie nie chciała opuścić domu i dzieci, mimo to, że lekarze, dla poratowania zdrowia, kazali jej zagranicę wyjechać — medytowała coraz smutniejsza dziewczyna. I tyle innych przecież zna panienek, które są zawsze razem z matką, pieszczone, kochane...

Mimowolnie westchnienie wyrwało jej się z piersi.

— U nas, wszystko jakoś idzie inaczej — szepnęła z żalem. — Wszystko inaczej!..

Kamieniecka tymczasem, zamknięta u siebie, przetrwała powoli boleść, jaką list Lorki jej sprawił. Dla niej aż nadto był zrozumiałym i też piorunujące wywarł wrażenie. Ten wyjazd zagranicę wbrew woli męża i za pożyczone od hrabiego pieniądze, to będzie plama niezamąta, na pocziwem i powszechnie szanowanym nazwisku Kamienieckich. — Hańba, hańba! — wybiegało jej na usta mimowolnie, wirowało w mózgu, odbierało przytomność. Kobieta, opuszczająca swoje domowe ognisko, przejmowała zawsze Kamieniecką nieopisanym wstrętem.

— Smagałabym takie nikczemne istoty różgami — mawiała, ilekroć wypadek taki dobiegł do

jej uszu. Zwykle łagodna i wybacząca, na tym punkcie była nieubłagana.

A teraz oto, straszny ten cios zawisł nad Kamieńcami, cios, którego Stanisław, przeżyć-by chyba nie potrafił.

Upłynęła godzina długa jak wieczność i dla Kamienieckiej i dla Wandzi, którą niepokój o babkę pożerał.

Kamieniecka podniosła się z klęczek, wzmocniona modlitwą. Głęboka wiara w miłosierdzie Boże dodała jej otuchy.

— Oko Twoje, Panie, czuwa nam wszystkim — wyszeptala, z gorączkowym pośpiechem otulając się szalem. Mimo lipcowego ciepła drżała jak w febrze. Wyszła z pokoju i uspokoiwszy kilka słowami czekającą przy drzwiach Wandzię, przemknęła się cicho do ogrodu, kędy wśród drzew i zarośli, biegła mała ścieżynka, gubiąc się potem w łanach złocistej pszenicy i płowego żyta.

Dzień miał się ku schyłkowi — cudny, spokojny dzień letni, który mimowoli oddziaływa na znekane serca i umysły. Zewsząd i każdy ku spoczynkowi dążył, a ta przedwieczorna godzina tyle miała odrębnego, właściwego sobie uroku, że Kamieniecka, zasłuchana, zapatrzona przystanąła, z błogiem, kojącym jakimś uczuciem w piersi.

— Ach, jak tu ślicznie! — szepnęła, gorącym wzrokiem obejmując słoneczną kulę w wieńcu złocistych i różowych obłoków, zapadającą zwolna za ciemną krawędź lasu i rzekę polyskującą wśród łąk zielonych i bujnym kłosem pokryte pola.

Wyciągnęła ręce przed siebie, jak gdyby chciała przycisnąć do swej piersi i ziemię i lasy i pola, na które patrzyła od lat tylu i tak gorąco ukochała.

— Czy ja też kiedykolwiek odtęsknić się potrafię? — szepnęła z bólem. — Chyba nigdy!... Czas, złagodzi może pierwszą, gwałtowną tęsknotę, ale rana się nie zagoi i będzie krwawić ciągle. Tyle lat tu przeżytych, tyle wspomnień i pamiątek!...

Z uśmiechem niewysłowionego smutku stała wciąż i patrzyła. Zamarzyła o przeszłości, o ukochanym, a tak wczesnie zgasłym mężu, o swoich radościach i bólach, jakie tu przeżyła. Z drobniawą dokładnością pamięć przywodziła jej coraz to inne wspomnienia.

Tym gościńcem do lasu wyjeżdżała zwykle, gdy mąż, z miasta lub innej jakiej w sąsiedztwo wycieczki, do domu powracał.

A ileż-to pięknych, letnich wieczorów spędzili razem na falach spokojnej rzeki swobodni, weseli, dalecy myślą, że chwile ich szczęścia już policzone! Ileż razy potem przybiegała tu sama skryć się ze swoim bólem i rozpacz! Każde drzewko, zakątek każdy mówił jej o przeszłości, smutnej czy wesołej, a zawsze drogiej.

Jak ona to wszystko żywo odczuwał! To chore, znekane jej serce, zachowało dziwną, młodzieńczą nieledwie, wrażliwość. Postanowiła, że zerwać musi z tą przeszłością, zostawić poza sobą pamiątki i wspomnienia, wszystko porzucić i pójść w świat, szukać obcego kąta, i tak jej ciężko z tą myślą się pogodzić. A przecież, musi to uczynić i żałuje nawet głęboko, że posłuchała próśb Stanisława i ociągała się tak długo. Syn ukrył to przed nią, ale z pewnością było tak, jak ona się domyśla. Lila nie chciała wrócić do domu, bo zniemawidzona matka mężowska, mieszkająca w oficynach, byłaby jeszcze za blisko. Więc powie jej teraz, że nigdy, nigdy nie przestąpi już progów rodzinnego domu, wyrzeka się widoku wnucząt i syna, byle tylko ona — Lila — nie czyniła im takiej krzywdy i zgodziła się powrócić do domu. Biedny, biedny Staś. Nie przeczuwa nawet jakie chmury gromadzą się znowu nad jego głową. Myśl o tem zagłuszyła inne. Już teraz nie czuła, nie bolała jej rozłąka, ani upokarzało spotkanie z Lilą; pragnęła tylko za jakąbądź cenę uratować syna.

Łzawe, pożegnalne spojrzenie rzuciła raz jeszcze dokoła.

— Bóg doda siły i krzyż mój lekkim uczyni — szepnęła, przyciskając dłonie do mocno bijącego serca.

Schylła się i drżącymi, delikatnymi palcami podjęła grudkę ziemi.

— Gdyby mi przyszło umierać gdzieś daleko... — rzekła wzruszona de głębi i szybkim krokiem, nie oglądając się już po za siebie, ku domowi poszła.

Stanisław właśnie z pola powracał. W ciągu lata i wiosny, która wyjątkowo w tym roku pogodną była i ciepłą, bardzo mizernie jednak wyglądał. Zobaczywszy matkę, zatrzymał się...

Kamieniecka popatrzyła na niego i zatrzymała się także.

— Ej, Stasiu! — rzekła — za wiele pracujesz i męczysz się... Niedobre dziecko z ciebie, skoro ciągle matkę zasmucasz. — Mówiła lekkim swobodnym tonem, ale on się zamarszczył.

— Prosiłem tylokrotnie, aby mama nie zwracała na mnie uwagi — odparł. — Nie będę już inaczey wyglądał... Starzeję się przecież z każdym dniem więcej...

— Bądźcobądź, Borzyckiego należało zatrzymać. Chciał pracować za połowę otrzymywanego dawniej wynagrodzenia — odezwała się matka, ale syn nie pozwolił jej mówić dalej.

— Dlatego też właśnie oddalić go musiałem — rzekł. — Płacić tyle co dawniej, nie mogłem, jak nie mogłem również zgodzić się na dobrodziejstwa, jakie mi cały świat chce wyświadczać. Chyba czuć musisz, że ból mi to sprawia, matko.

— Zbyt przesadnie zapatrujesz się na to, kochany synu — odpowiedziała Kamieniecka — Borzycki, robiąc tobie ulgę, nie czynił sobie wielkiej krzywdy. I tak-by miał dosyć. Ileż razy mówił, że pobyt u nas uszczęśliwia go i służba, która, dzięki twemu taktowi i zacnym poglądom, nie była wszakże służbą! Borzycki dumny jest, więc oceniał to głęboko.

— Mama zapomina, że i mnie trochę dumy jeszcze pozostało — rzekł podrażniony Stanisław. — Jeżeli nie mogę odpowiednio wynagradzać tych, którzy pracują dla mnie, powinienem pracować sam. Po co my zresztą o tem mówimy? Rzecz się stała i...

— Borzycki jest dotąd wolny i radby do nas powrócić — szepnęła matka, ale nalegać więcej nie śmiała. Stanisław był bardzo wzburzony. Łała błahostka sprowadzała napady rozdrażnienia i często nawet wybuchał bez najmniejszej przyczyny.

Oddalenie Borzyckiego było wprost przeciwne życzeniu matki. Lękała się następstw, które przewidziała. Wobec poczciwego ale niedołężnego Kwapiewicza, znekanego umysłu i słabych sił Stanisława, on, Borzycki, był maszyną, która wprowadzała w ruch wszystko, praktycznie a ogólnie. Trzeźwość myśli, która go nigdy nie odstępowwała, doskonała znajomość gospodarstwa, energia i takt, były to przymioty bardzo cenne i Kamieniecka uznawała sama, że szlachetny i serdeczny chłopak, wielką był dla Kamieniec pomocą. Ale Stanisława dumą uniosła i — wymówił Michałowi miejsce. Wzamięn za lata spędzone beczynnie, chciał podjąć teraz tyle, tyle pracy i trudów, a zapomniał o tem, że energią jego zlamaly i lamią ciągle nieprzyjemne wpływy, że myśl o żonie, zazdrość i tęsknota, zaprzatają mu umysł i rwące się do czynu chęci paraliżują. Bywały chwile i poważnej reflexyi, kiedy żałował Borzyckiego i ogrom zajęć, jakie wziął na siebie, wydawał mu się za ciężkim. Wstyd mu jednakże było przyznać się do tego i rzeczy pozostawały jak były, budząc w sercu Kamienieckiej niezmierną trwogę.

„Sam się zamęczy i do reszty interessa zagnamta...“ powtarzała sobie niejednokrotnie, z westchnieniem wspominając Borzyckiego. Ze Stanisławem bardzo delikatnie poruszała ten przedmiot; kończyło się zwykle na tem, że się rozgniewał. Więc i dziś, zaniechała dalszej o tem rozmowy, wsunęła rękę pod ramię syna i zawróciła ku domowi.

— Kochany Stasiu — rzekła odważnie — chcę cię o coś poprosić. Sądzę, że przez jakieś dni kilka obejdziecie się bezemnie. Wanda, wcale nieźle potrafi zająć się gospodarstwem w domu i mam nadzieję, że cię zadowolni... Mam trochę sprawunków... Czy — czy nie mógłbyś dać mi dziś koni na pociąg odchodzący jutro rano do Krakowa?

Stanisław spojrział na nią zdumiony. Wydało mu się bardzo dziwnem, że matka, od lat tylu nie wyjeżdżająca nigdzie, wzięła i niezbyt zdrowa, chce się narazić na trudy podróży, dla sprawunków, które i w sąsiednim mieście załatwić można.

— Nie mogę własnym uszom uwierzyć, matko — rzekł. — Jechać do Krakowa dla tak błahej przyczyny, tyle mil... Nie pojmuję, doprawdy!... Chyba jest jaki inny powód?

Roześmiała się swobodnie.

— A widzisz! Zachciało mi się nieco przewietrzyć... Czy to co nadzwyczajnego? W Krakowie mam dawnych znajomych, nieco krewniaków... Chciałabym ich zobaczyć. Nie jestem już przecie młodą i godzina odejścia ztąd, zbliża się... Czy masz co przeciwko temu, Stasiu? — Mówiła tonem lekkim, swobodnym i uśmiechała się pogodnie.

— Nie. To jest — właściwie, nie mam prawa krępować życzeń mamy. Lękam się tylko, czy nie ma w tem ukrytej myśli?

Projekt nagły, niespodziewany...

A może Lila chora? — zawołał uderzony nowym domysłem. — Tak, z pewnością, i dlatego jedziesz, matko? — Zatrzymał się i spojrział jej w oczy. — Nie męcz mię niepewnością i powiedz prawdę — szepnął. — To Lila, to o nią chodzi?

— Uchowaj Boże! Zkąd ci przyszła podobna myśl do głowy? — rzekła śpiesznie. — Czyżbym była tak spokojną i swobodną? Doprawdy, Stasiu, przykróść mi sprawiasz. Po co denerwować się urojonemi obawami i szarpać zdrowie? Nie wyjeżdżałam dotąd, przyznaję nawet, że jeździć nie lubię, ale raz, kiedyś, zobaczyć starych znajomych, z którymi niejedną chwilę w życiu się przeżyło... — Zamilkła, brakło jej głosu. Ciężko jej było kłamać i bała się, aby syn nie odgadł prawdy.

— Przebac mi, matko — rzekł, ca ując jej rękę Stanisław. — Odezwałem się niewłaściwie; sam to czuję... Trwoga o Lilę odebrała mi przytomność. Więc dziś jeszcze chcesz jechać, mameczko?

— Tak, dziecko. Pisałam już do Kmitów, że przyjadę w tym tygodniu — odparła.

Poszli dalej, milcząc oboje, zaprzatnięci myślami.

— Czy — czy nie zobaczysz się z Lorcją, matko? — spytał wreszcie, gdy dochodzili już do domu. — Nie śmiem cię prosić...

Ręka Kamienieckiej na ramieniu syna wsparta, mocno drgnęła.

— Radabym z duszy — odparła z przykrością, bo ją to okłamywanie syna, ciężko zmęczyło. — Mam nadzieję, że Lila nie zapomni o zasadach gościnności i przyjmie mnie. Bądź spokojny, Stasiu. Umiem o wszystkim zapomnieć, gdy idzie o ciebie.

To przynajmniej mogła powiedzieć szczerze. Od ilu to lat już, wyrzekła się wszystkiego myśląc tylko o nim, walcząc o jego spokój i szczęście!

Tego dnia wieczorem odjechała. Wymknęła się prawie bez pożegnania.

— Jadę nakrótka — mówiła do zasmuczonej Wandzi — a tobie w sekrecie powiem, że jadę po matkę i Lorcję. Pamiętaj o ojcu, a o liście nie wspominaj. Ojciec jest chory, zmartwiłby się i mogłoby być nieszczęście. Wiem, że mogę polegać na tobie i kocham cię bardzo, moje ty rozsądne, poczciwe dziecko.

Łzy ją tak dusiły, że prawie mówić nie mogła. Gdy konie z przed ganku ruszyły i w powodzi księżycowego światła kąpiące się Kamieniec raz ostatni ukazały się jej oczom, głęboki jęk dobył się z jej piersi.

Zostawiła wszystko za sobą.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

† Józef Szczepkowski.—Nasi goście teatralni. — Pani Saville, panowie Guiraud, Giraltoni etc. — Występ pani Konarskiej w „Fauście.”—Pan Czernicki.

Józef Szczepkowski, jeden z najczynniejszych niegdyś artystów opery warszawskiej, rozstał się z tym światem we wsi Sokółka w gubernii Siedleckiej, gdzie bawił na letnim mieszkaniu, przeżywszy lat blisko 80. W osobie jego zgasił ostatni przedstawiciel epoki dawno ubiegłej, a pomimo, że i dziś żyją jeszcze artyści dawne czasy pamiętający, każdego z nich karyera młodszą-by była od karyery zmarłego o lat kilkanaście lub dwadzieścia. Szczepkowski rozpoczął swą pracę na scenie jako tenor w r. 1840—41. Śpiewał w Krakowie i w Niemczech na przemian, w r. 1846 przybył do Królestwa z krakowską trupą Pfeiffra i wystąpił naprzód w kilku miastach prowincjonalnych, a następnie w Warszawie, gdzie potem na stałe pozostał aż do r. 1878, w którym otrzymał emeryturę. W ciągu tego długiego lat okresu wystąpił Szczepkowski w stu przeszło rolach (wykaz niejako urzędowy, sporządzony przez niego samego, wykazuje oper 96, a w niektórych po parę ról). Repertuar jego składały opery liryczne, jak „Napój miłosny”, „Dolina Andorry”, „Lukrecya Borgia”, lubo i w „Cyryliku Sewilskim” występował jako Almagiva, podobno z powodzeniem, w razie zaś potrzeby, i przed rolami bohaterskimi się nie cofał. My go pamiętamy jako śpiewaka jeszcze użytecznego i wytrwałego, mającego niemało życia i temperamentu, ale używającego głosu zbyt jaskrawo. W dalszej też swej karierze przerzucił się wspólnie z innymi wybornymi artystami, (których wówczas do *wszystkiego* używano) na pole operety, i tam, dzięki swej werwie i humorowi, oraz niepoślednim jeszcze środkom wokalnemu, odtworzył niemało ról z wielkim powodzeniem jak np. Menelausa w „Pięknym Helenie”, „Szczoteczki” w „Burszaczach”, i t. d. Wesoły i sympatyczny w koleżeńskich stosunkach, zmarły żyć będzie długo w pamięci tych, co go znali. Talent jego odżył i w dalszym pokoleniu. Z pięciorga dzieci Szczepkowskiego pracowali na scenie: Józef barytonista i córka Anastazyja, stale dziś wysoko ceniony mezzosopran dramatyczny.

Do starszych i młodszych towarzyszy broni Szczepkowskiego, stanowiących świetną plejadę sceniczną, należeli między innymi: Rywacka, Rivoli, Dowiakowska, Dobrski, Traszel, Kozieradzki, Filleborn. Gwiazdy te naszego firmamentu w większej części już pogasły, a z żyjących jedna Dowiakowska stoi dzielnie na wyłomie i nie składa broni, ale nią bije zwycięzko całe grono młodszej braci! Ukończywszy chlubnie karierę sceniczną, równą zupełnie co do liczby lat karierze Szczepkowskiego, posiada artystka jeszcze środki wokalne znakomite. Jakkolwiek repertuar jej zawierał wszystkie rodzaje oper, wszakże głównem jej emplotem była koloratura, do której posiadała zdolność fenomenalną. Ilekroć słyszymy na naszej scenie jakąkolwiek gamę lub passaż, nie możemy się najczęściej nim zachwycać bezwarunkowo, gdyż przychodzi ustawicznie na myśl porównanie: „jak-by to zrobiła Dowiakowska!”

A właśnie gości teraz na naszej scenie sopran koloraturowy pełen wdzięku, pani Brown-Saville. Gości i robi kasę, co dowodzi, że zalety jej talentu są niezwykle. Przedewszystkiem głos jest idealnie miły, emissa łagodna, żadnej ostrości, żadnego skrzypnięcia. Przytem czystość nieposzlakowana, a to taki ważny i na scenie rzadki przymiot. Koloraturę ma pani Saville dość wypracowaną, ale nie pierwszorzędną. W „Lucyi z Lammermoru” nie zachwycała znawców w pierwszą arją, gdzie trudności są większe, ale za to sprawiła silne wrażenie w scenie obłąkania, gdzie w kadencji z fletem i końcowej arji umiejętnie zastosowała warianty do rodzaju swego głosu i uzdolnienia. W „Rigoletto” ślicznie śpiewała

aryą. Takie solowe, koncertowe popisy są też dla artystki polem najszcześniejszym; mniej sprawa wrażenia w ansamblach, może z powodu gry, starannej wprawdzie, ale chłodnej. W każdym razie śpiew pani Saville robi tyle przyjemności, że radzimy każdemu kto może, by korzystał z krótkiej jej gościny na naszej scenie i parę razy zaopatrzył się w bilet. Wprawdzie obok tego światła spotka, jak to, niestety, w życiu nieuniknione—i cień, a cieniem tym jest tenor p. Iribarne, któremu wprawdzie nie można odmówić pewnej umiejętności śpiewu, ale którego ani materyał wokalny, ani intuicja sceniczna i artystyczna nie stoją na wysokości zadania. Pan Guiraud—to co innego. Młody to artysta, pełen włoskiego typowego temperamentu, i w rolach takich „wybuchowych” jak „Pajace” i „Cavalleria”, wyborny. Nie dziwnego, że taki niecierpliwy i młody rumak nie mógł się dać okiełznać w szczegółową i wykończoną rolę Fausta; aby jej warunkom godnie odpowiedzieć, potrzebuje on jeszcze wiele przecierpieć, wiele przedumać, aby swoje nerwy, wzburzone pod świętym promieniem słońca sztuki uspokoić, uczucie skoncentrować—nareszcie: głos wyrobić, któremu delikatnych odeieni brakuje. Artysta to swoją drogą bardzo sympatyczny i interesujący. Młodości tak się chętnie przebacza jej krewkość i zapał, choćby trochę przesadzony!

Co do występu w „Fauście” pani Konarskiej, powiemy z całym przeświadczeniem, że *powinna* być ona w niedalekiej przyszłości wyborną Małgosią, partya swą bowiem pod względem *wokalnym* pokonała znakomicie. Bogactwa głosu i deklamacyi było nawet zawiele w niektórych ustępach, potrzebujących naiwności i prostoty; ale ballada, świetne zakończenie arji z klejnotami, sceny: kościelna i więzienna, śpiew w oknie zrobiły wrażenie jak najlepsze. Walentym był pan Broggi-Muttini, również jak i Rigolettem. Sympatyczny ten artysta uczynił według nas w ciągu roku tak wyraźny krok naprzód, że dziś staje się siłą przyciągającą. Głos piękny i wielka szczerłość uczucia chwytają za serce—są szczegóły wystudowane oryginalnie i przez to nader pociągające, jak naprzykład w trzecim akcie Rigoletta ta gra niema i złamanym głosem *wymówione*: „Parla, siam'soli!” Uczucia tylko daje artysta czasem zawiele, wskutek czego głos wibruje i jasność swego brzmienia zaciemnia. Drugim wybornym gościnnym barytonistą jest p. Giraltoni. Słyszeliśmy go najprzód w „Carmenie” w roli Torreadora, a następnie w „Faworycie” jako księcia. Interesuje w nim przedewszystkiem prezencja znakomita, śmiałość i swoboda aktorska rzadka. Ten wyraz, to aktorskie urozmaicenie akcentu nadaje i wokalnemu producyom artysty specjalny charakter. Jest to bogactwo prawie za wielkie, interesujące bardzo, ale przeszkadzające trochę przy wykonaniu cantabile. Było to godnem uznania, że w arji „*per tanto amore*” nie rozczułał się zanadto, jak inni Alfonsowie, i uwydatnił ironią—ale znowu frazes muzyczny tak pocłonkował, tyle mu nadał różnych typów, że jednolitość interpretacyi w znacznej części się zatarła.

Panna Inez de Salvador, która się korzystnie przedstawiła publiczności w roli „Mignon”, dała się następnie słyszeć w „Carmenie” i „Faworycie”. Głos sympatyczny, niezbyt wielkiego woluminu, obok talentu aktorskiego uczyniły z „Carmeny” postać zajmującą, i pomimo prawdy dramatycznej, estetyczną. „Faworyta” stanowczo się nie powiodła; rola to za ciężka dla materyału wokalnego artystki, a sztuczne zgrubianie głosu i mina grobowa wdzięcznej zwykle twarzy zki nie uratowały sytuacji. „Bądźmy sobą!” ten aforyzm tak ważny dla każdego człowieka, ze szczególną stanowczością stosuje się do wszelkiej produkcyi sceniczyńskiej; kto bierze na barki swoje role nie stosowne—zginąć z nimi musi.

Z nowin teatralnych miłą zapewne dla czytelników będzie wiadomość, że intelligentny artysta—tenor, pan Gustaw Czernicki, powiększył stały personel naszej opery.

Jan Kleczyński.

Kronika działalności kobiecej.

— Na kursach kucharskich dla kobiet w Petersburgu odbyły się egzamina. Dwadzieścia cztery uczennice otrzymały patenta z ukończenia kursów całkowitych.

— Alexandrowski komitet opieki nad rannymi otrzymuje znaczne dary od kobiet, zwłaszcza zamieszkujących Petersburg.

— W warszawskim Towarzystwie pracowników przemysłowych i handlowych wytworzonym został wydział kobiet pracownic, których zadaniem jest opieka nad towarzyszkami, oraz wyszukiwanie im pracy. Pań tych, zapisanych do Towarzystwa, jest przecież tylko pięć, gdy mężczyźni liczy Towarzystwo tysiąc kilkuset.

— Projekt włączenia kobiet obszywaczek obuwia do cechu szewskiego będzie wkrótce poruszonym na posiedzeniu urzędu cechowego. Podnoszono go już przed dwoma laty, przecież nie został wziętym pod obrady z powodu jakoby czas obecny nie odpowiadał tej innowacyi.

— P. P. Zofia Jastrzębska i Karolina Liberowa wniosły podanie o pozwolenie otwarcia praktycznych kursów gospodarstwa wiejskiego i domowego na podstawie ustawy normalnej, obowiązującej wszystkie kobiece szkoły przemysłowe i rzemieślnicze. Kursa obejmować mają: gotowanie, szycie, pranie i prasowanie, przerobę z nabiału, przyrządzanie konserwów owocowych i warzywnych, urządzenie wędlin, hodowlę drobiu i rachunkowość gospodarczą.

— Zakład hr. Platerówny w Chyliczkach praktycznego kształcenia kobiet w gospodarstwie wiejskiem przyjmuje praktykantki przez cały ciąg roku, a dzieli się na dwa oddziały: jeden, kształtający do obsługi gospodarczej, drugi do zarządu gospodarstwem, więc mieszczący panie lub ich wyřęczytelki zarządzające gospodarstwem. Pierwsze z wymienionych płać miesięcznie za naukę i całe utrzymanie 10 rs., drugie 25 rs. lub więcej wedle umowy i warunków, jakie ona określa. Kandydatka oddziału 1-go odbywa kolejno praktykę w ośmiu działach gospodarstwa, z których każdy zostaje pod kierunkiem odpowiedniej przewodniczki, a w którym kandydatka kształci się przez praktykę, pracując własnymi rękami, co jest wymaganem. Osoby, mieszczące się w oddziale drugim, odbywają kurs krótszy, w miarę odpowiedniego uzdolnienia się do zarządu gospodarstwem mogą też, za osobną umową, przebywać tu czas jakiś dla nabycia pewnych wiadomości w zakresie poszczególnym. Działy zajęcia się tu są: koło nabiału, mięsowa, warzywa, oraz jarzyn i owoców, pieczywa, kuchni, prania i prasowania, hodowli drobiu, hodowli cieląt i trzody chlewnej. Obok nauki gospodarstwa jest tu jeszcze wzięta pod uwagę i strona życia moralna, a razem zakład w Chyliczkach jest instytucją pożyteczną, która może wytworzyć nową gałąź pracy kobiecej, kształcąc takie w zarządzie gospodarstwa kobiecego gospodynie inteligentne, jakimi są w mężkiem rządzący. Można śmiało przypuszczać, że byłoby to zajęcie z podstawą pewniejszą, niż te rozmaite gałęzie stosowanej pracy artystycznej, które w niebogatem społeczeństwie naszym ma przed sobą pole bardzo ciasne.

— Szkoły kobiece malarstwa już otwierają roczne kursa swoje. W szkole p. Bronisławy Poświkowej już się rozpoczęły, w szkole p. Heleny Tokarzewskiej rozpoczyna się między 5-ym a 8-ym Października.

— Szkoła domowego gospodarstwa kobiety i ogrodnictwa powstała na Szlązku, w Gogolinie.

— W Niemczech kandydatki na nauczycielki tak ochron, jak i szkół, obowiązane są do pewnych wiadomości z zakresu wychowania fizycznego i higieny, a to w celu, aby umiały obchodzić się z nauczaniem dziećmi, nie przeciążać młodych umysłów i umieć odpowiednio stosować kary. W Hanowerze na egzaminie z pedagogiki zadawane były pytania: jakim powinno być ogrzewanie

sal szkolnych, ich przewietrzanie oraz środki dezynfekcyi, woda podawana do picia.

— W Anglii wprowadzono do szkół dziewcząt naukę o pielęgnowaniu chorych; uczennice dwóch klas ostatnich przechodzą ten kurs, który jest przeważnie praktyczny, obznajamia uczennice z wiadomościami, jakie powinno być urządzenie pokoju i łóżka chorego, jak mierzyć temperaturę, jak podawać lekarstwa, jak opatrywać i bandażować skaleczenia, rany. W szkole dziewcząt w miejscowości Maryhill, w okolicach Glasgowa, wprowadzono do szkół dziewcząt naukę o pielęgnowaniu chorych; uczennice przechodzą ten kurs bezpłatny obowiązkowo.

— Angielska pani, lady Jenne, napisała książkę z tytułem „Drobne kwestye“, to jest kwestye tych codziennych obowiązków kobiety, mało znaczących napozór, które przecież zebrane w całość, wytwarzają grunt życia ludzkiego tak materialny, jak i moralny.

— Miss Florencia Nightingale, znana i uznana w kwestyi podnoszenia tak studyów medycznych kobiety jak i praktykowania jej lekarskiego, napisała i przesłała higienicznemu kongressowi w Peszcie rozprawę o sanitarnych urządzeniach domów tak miejskich, jak i wiejskich. Jest tu poświęcone miejsce znacznej kwestyi o sanitarnym stanie wsi indyjskich, co dla społeczeństwa angielskiego ma znaczenie swoje.

— Anna Molner, węgierka, która za lat swych młodych odznaczyła się wielką odwagą i miłością swego społeczeństwa, zmarła w mieście Raab, zostawiając po sobie wspomnienie szlachetnej kobiety z sercem gorącym. Jej nazwisko rodzinne jest Szilagy. Kobiety węgierskie postanowiły wzniesić jej pomnik: posąg jej w wieńcu wawrzynów na głowie. Chciano zrazu, aby przedstawiał ją w mundurze honwedów, który czas jakiś nosiła szlachetnie, ale większość zaprotestowała przeciwko temu, dowodząc, że czyny szlachetne, które spełniała, nie odnoszą się do tego tylko epizodu jej życia. Służyła społeczeństwu swemu z równym poświęceniem i równą zasługą w zakresie czysto niewieściej działalności, niespracowana w tem do śmierci.

— Miss Marya Adams, amerykanka, zamieszkująca Kalifornią, założyła seminaryum nauczycielek, a pragnąc ukształcić je nie tylko na dobrze nauczające, lecz zarazem i wychowujące, wzniosła przy seminaryum szkołę, w którejby uczennice przechodziły praktykę swego zawodu, łącząc ją z obserwacją charakterów dzieci nauczanych. Uczennice piątej, to jest najwyższej, klasy naukę tę prowadzą, a miss Adams słucha zawsze tych wykładów w towarzystwie pięciu osób w zawodzie nauczycielskim wyżej wykształconych, które po każdej lekcji zapisują w konotatniku na ten cel służącym uwagi swoje co do dobrych lub ujemnych stron wykładów. Praktykantka czyta to i tłumaczy się ze swoich poglądów na nauczanie, z celów, jakimi pragnie otrzymać tu rezultaty dodatnie. Dyskusya, która się ztąd wywiązuje, nauczy więcej niż wszystkie lekcye pedagogiki, bo dotyka to już tej praktycznej strony rzeczy, która w nauczycielstwie ma znaczenie bardzo wielkie—sposobów działania na umysły, a obok tego system to jest egzaminowania nauczycielek najlepszych.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż departament lekarski opracował ogólne normy sanitarne dla fabryk i zakładów przemysłowych. Normy wejdą w skład nowej ustawy budowlanej, obowiązującej wszystkie nowo budujące się zakłady. Fabryki już istniejące będą o ile można stosować warunki higieniczne do wskazówek zawartych w projekcie departamentu lekarskiego.

— Do rady państwa wniesiono projekt ostatecznie opracowanej ustawy o obowiązku zostawiania dzieciom w spadku pewnej części majątku. Ustanowiona będzie pewna norma spadku, przechodzącego na własność dzieci niezależnie od treści testamentu rodziców.

— Minister skarbu postanowił utworzyć uniwersytet nauk handlowych podług wzoru akademii handlowej w Antwerpii.

— Według ostatniego sprawozdania War. Towarzystwa Dobroczynności 4.120 dzieci uczęszcza do trzydziestu trzech ochron naszego miasta.

— War. Tow. Sztuk Pięknych wyznacza dwie nagrody: 350 i 250 rs. za najlepsze szkice przedstawiające projekt budynku nowego gmachu Towarzystwa. Termin składania prac konkursowych oznaczonym jest na d. 30 Listopada. We dwadzieścia cztery godzin później prace konkursowe nadsyłane jawnie, to jest z podpisami nazwiska ich twórców, wystawione zostaną na widok publiczny. Sąd konkursowy składać się będzie z dwóch członków komitetu i pięciu architektów.

— Dochód z pierwszego dnia wystawy obrazów Jana Chelmińskiego został przeznaczony na wpisy szkolne dla ubogich uczniów. Przedstawił on 25 rs., które artysta przesłał na ten cel „Kuryerowi Warszawskiemu“. Wystawa złożona jest z szesnastu obrazów, a mieści się w Resursie Obywatelskiej.

— Na posiedzeniu członków przyszłej wystawy higienicznej przyjętym został program, wypracowany przez p. Ciemińskiego, sekretarza komitetu wystawy, obejmujący obok statystyki ludności klimatologią, oraz inne działy, mogące dać obraz geografii sanitarnej naszego kraju, a to: hydrografią i hydrometrią. Dla dokładniejszego zbadania wszystkich czynników, działających na miejscowe warunki higieniczne, zastosowaną będzie metoda porównawcza z większymi miastami zagranicznymi, ujęta w formę najprzystępniejszą dla przeciętnej publiczności. Wystawę można nazwać już z góry pożyteczną.

— Na ostatniem zebraniu komitetu Kassy Mianowskiego dla osób pracujących na polu naukowym, rozpatrzone kilkanaście podań o zapomogi z tym celem.

— D-r Bronisław Wojciechowski znalazł w Kaliszu w jednym z prywatnych księgozbiorów ciekawy zabytek bibliograficzny: drukowany w Kaliszu w 1609 r. Katechizm rzymski „za rozkazaniem konsylium trydenckiego na nowo na polskie przełożony przez ks. St. Karnkowskiego, arcybiskupa, z przedmową tegoż i pasterskiem błogosławieństwem. Dan w Łowiczu XXI Aprilis A. D. 1603“. Tekst drukowany literami gockimi, tytuły zgłoskami łacińskimi, każda stronica otoczona ramami kwadratowymi z marginesem zapelnionym cytatai z Pisma Świętego.

— W okolicy Sieradza we wsi Smardzewie znaleziono w lesie ślady budowli nawodnych

i cmentarzysko pogańskie. Wydobyta została w całości jedna tylko piękna łzawnica z uszkiem, resztą zaś łzawnie i urn przy odkopywaniu patłuczono. Wydobywając stare mury znaleziono pieczęć bardzo dobrze zakonserwowaną, z napisem: „Posnan 1324 Sigillum E. C. C. Paroch St. Martini.“ Niedaleko od tej miejscowości znaleziono w ziemi, na polach wsi Wróblewo, granitowe kule szwedzkie. I jakże świat ten nasz jest stary, ile prac walk, tragedyi odbyło się na jego arenie!

— Lasy dębowe w zakresie okolic Warszawy należące do dóbr hr. Zawiszów zostały sprzedane spółce francuzkiej za 2.275.000 rs.

— W Częstochowie na najuroczystszy tam odpust w d. 8 b. m. zgromadziło się 30.000 pątników.

— W Łójkach pod Częstochową rozszerzono kopalnię rudy żelaznej, w której pracuje 130 robotników. Okoliczni ziemianie czynią poszukiwania, świdrując miejscowości, w których przypuszczać można istnienie w ziemi rudy.

— Obywatele ziemscy z okolicy Krośniewic zawiązali spółkę udziałową i założyli w tem miasteczku „Sklep rolniczy“, którego głównym towarem są narzędzia gospodarskie, oraz wszelkie przeroby z żelaza. Przedstawicielem spółki jest p. Leon Lisowski, dziedzic dóbr Szolajdy.

— Z Brazylii powróciło do Płocka parostatkiem dwóch włościan, którzy wyemigrowali z tamtej okolicy przed dwoma laty, młodzi, bezżenni: Józef Suliniak i Józef Hirzyński. Pracowali oni w ostatnich czasach ciężko przy ładowaniu okrętów i za ten grosz mozolną pracą nabyty wrócili do kraju. Hirzyński dwa razy przebył żółtą febrę i organizm jego jest bardzo wycieńczony.

— Astronom wiedeński Brenner, zajmujący się specjalnie obserwowaniem planety Mars, zbija przypuszczenie francuzkich badaczy, jakoby działało się na tej planecie coś nadzwyczajnego, że albo pali się tam jakiś wielki ogień, albo mieszkańcy tamtejsi chcą dawać ziemi sygnały. Brenner przecząc temu dowodzi, że widmo świetlane tworzą jedynie chmury oblane blaskami słońca. I dodaje on, że znikną wkrótce wody i powietrze Marsa, bo starszy od ziemi naszej o lat miliardy, przeszedł on przez proces zwitwienia, który sprawił, iż góry się rozsypały i są tam tylko doliny, wody poprzednich badań Flammarion wziął je za kanały przekopane umiejętnie i na tej podstawie dowodził, że zamieszkują tego planetę istoty rozumne, z wysoko posuniętą cywilizacją.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się powieść p. t. Mamona, przez Mrs Aleksander przekład z angielskiego, ark. 10.

TREŚĆ: Małżeństwo, przez M. I.—Bluszcz, przez Kazimierza Glińskiego.—Pogadanka o pamięci, przez Z. S.—Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg).—Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego.—Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Mamona, przez Mrs Aleksander, przekład z angielskiego. Arkusz 10-ty.—Przegląd mód.—24 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.